



Dragon Ball Fan Fick

by yui-chan

Rozdział II

- Dosyć! – krzyknął Popo materializując się w centrum całego zamieszania. – Natychmiast przestańcie! – ryknął z siłą gromu.

Walczący – Trunks i Vegeta z jednym, Goten i Gohan z drugim przeciwnikiem – zastygli w bezruchu.

- Mistrz Popo! – na raz krzyknęli dwaj nieznajomi, już nie zamaskowani, których twarze wyglądały dokładnie tak jak twarz lokaja Wszechmogącego. Skoczyli w jego stronę i przyklęknęli na jedno kolano. – Myśleliśmy, że... eee...

- Popo! – wrzasnął Vegeta. – Nie przeszkadzaj nam! Przez nich straciłem oko i nie dam im stąd odejść!

- O co tu chodzi, panie Popo? Czemu nazywają cię mistrzem? – zapytał Gohan.

- Pamiętasz jak byliśmy młodszy. – Trunks zagadnął cicho Gotena, przy którym znalazł się nie wiadomo kiedy. – Popo przyłapał nas w pałacu Wszechmogącego, a my go zaatakowaliśmy. Nic sobie nie robił z naszych ciosów... nigdy się nie przyznałem, ale atakowałem go na poważnie.

- No – przytaknął Goten. – Ja też.

- Mistrzu Popo, znasz tych osobników? – zapytał jeden z klęczących przed nim przybyszy. Wtedy Vegeta zaatakował resztkami sił.

Ściana energii popędziła w stronę Popo i dwóch podobnych jemu wojowników i... rozproszyła się na boki, jakby wpadła na niewidzialną barierę. Wszyscy poczuli, co to była za energia.

Aura Popo.

Ki monstrualnych rozmiarów.

Pojawiła się dokładnie w ostatnim momencie i tylko na mgnienie oka, mimo to aż za dobrze zdali sobie sprawę z tego, z jakiego pokroju siłą mają do czynienia.

- Uspokójcie się, wszyscy. – nakazał Popo. – Popo nie lubi walki. – powiedział już swoim zwykłym tonem. – Chyba nadszedł czas, by wam wszystko wyjaśnić... Spotkamy się w pałacu Wszechmogącego. – oznajmił, chwycił ramion dwóch czarnoskórych wojowników i wszyscy trzej zniknęli. Niczym Goku używający natychmiastowej transmisji.

Członkowie drużyny Z jakiś czas nie mogli wyjść z szoku i trwali na zmienionej w kupę gruzu wyspie, a potem jeden za drugim wystartowali.

Prosto do pałacu Dende.

Ten, obserwujący sytuację na bieżąco, doskonale o tym wiedział. I nic a nic mu się to wszystko nie podobało.

Czajnik zagwizdał, oznajmiając, że woda jest już gotowa. Popo wyciągnął filiżanki i zaparzył herbaty dla gości, którzy już lądowali na dziedzińcu.

Dende i dwaj czarnoskórzy wojownicy już siedzieli przy wielkim stole w ogrodzie. Ziemski bóg był milczący i zamyślony, po tym, co usłyszał od Popo, którego ledwie wczoraj miał za swojego służącego i przyjaciela...

Gdy obrońcy Ziemi zbliżali się do nich, wstał.

- Musicie mi obiecać, że w moim pałacu nie dojdzie do walki. – powiedział. – Wysłuchacie Popo. Wszystko to efekt wielkiego nieporozumienia... Zgadzaście się?

Wojownicy przytaknęli. Tylko Vegeta prychnął, lecz nie miał zamiaru prowokować walki.

Przynajmniej póki wszystkiego się nie dowie.

- Siadajcie, siadajcie. Zaraz podam obiad. – czarny grubasek zaprosił wszystkich do stołu, jak gdyby nigdy nic.

- Miejmy to szybko za sobą. – rzucił pogardliwie Vegeta, jednak Goten i Trunks już zajęli swoje miejsca i pałaszowali przystawki. – Ehhh... niech będzie. – zrezygnowany dołączył do siedzących.

Popo podał posiłek, pieczone udo dinozaura w sosie z kawałkami pomarańczy, i zajął swoje miejsce.

- Popo opowiedział mi wszystko – zaczął Dende, ku zdziwieniu swoich gości. – I ja mu wierzę. Wysłuchajcie jego historii, bo to co mówi ma ogromne znaczenie... szkoda, że dowiadujemy się o tym dopiero teraz. – spojrzał z wyrzutem w stronę istoty, którą do niedawna miał za swojego sługę, jednak ta twarz jak zwykle była nieprzenikniona.

- Poznaliśmy bogów, walczyliśmy w kosmosie, spotkaliśmy podróżników w czasie, mój ojciec był w zaświatach i wrócił... Nie sądzę, by coś miało nas zaskoczyć. –odparł Gohan.

- Wyobraźcie sobie inny świat... całkowicie inny wszechświat. Nie linię czasu alternatywną do waszej. – zaczął Popo głosem mentora, takim, którego dotychczas od niego nie słyszeli. – Wszechświat starszy od waszego, tak stary, że jego mieszkańcy zdążyli osiągnąć wyżyny wiedzy w dziedzinach, których wasi naukowcy jeszcze nie odkryli. I którego wojownicy zdołali ujarzmić ki w taki sposób, jako wam jeszcze nie przyszedł do głowy...

- Phi – prychnął Vegeta, mimo to dało się rozpoznać, że wzmianka o wojownikami obudziła jego zainteresowanie.

- ... Bardzo stary świat. Stary i martwy. Opustoszały. Świat, w którym przydarzyła się wielka katastrofa, anomalia tak silna, że pociągnęła ku zniszczeniu sąsiednie wszechświaty...

Gohan zwalczył impuls, by poderwać się z krzeselka i krzyknąć „niemożliwe!”. Teraz już dokładnie wiedział, co rozgrywało się w umysłach profesorów, gdy przedstawiał im swoje hipotezy.

- ...Zaświaty, piekło, świat kaiośhinów, świat śmiertelników, wszystkie zapadły się i zlały w jedno. Zapanował chaos, ciemność i śmierć. Pozostała przy życiu garstka bogów...

- Zzzzaraz zaraz! Nnnie chcccesz chyba poooowiedzieć, że jessssteś kaiośhinem! – Dende, któremu Popo oszczędził wcześniej szczegółów, jękał się z zaskoczenia.

- Nie... – odparł krótko. - Kiedyś nim byłem. Zanim nasz świat został zniszczony. – wyznał ze smutkiem. - Długie lata badaliśmy to, co się stało i jak do tego doszło. Poznaliśmy wiele sekretów natury ki i praw, jakie nią rządzą. Dzięki temu odkryliśmy sposób na podróż między wszechświatami i inne zdolności... – stwierdził enigmatycznie. - Postanowiliśmy działać, by nigdy ta katastrofa się nie powtórzyła.

- Co to wspólnego ma z nami? – zapytał zniecierpliwiony Vegeta. Trunks z Gotenem zjadali właśnie drugą porcję dokładki. Popo upił łyk herbaty z filiżanki i zaczął dalej tłumaczyć:

- To, co spowodowało katastrofę, to koncentracja ki. Dokładnie koncentracja energii ki, która, odkryliśmy to później, prezentuje raczej stały poziom w całym wszechświecie. Koncentracja, a następnie emisja ogromnej ilości tej energii z jednego punktu. W naszym świecie też istnieli wojownicy, też trenowali i posiedli sztukę transformacji... to zgubiło nasz świat.

- Chcesz powiedzieć, że we wszechświecie ki nie ubywa ani nie przybywa? Jeśli my stajemy się silniejsi to ktoś inny... – zapytał Gohan.

- We wszechświecie jest mnóstwo wolnej energii. To potencjał. – tłumaczył Popo tak, jakby miał przed sobą klasę pierwszaków, którym wyklada podstawy matematyki. – Problem w tym, że gdy zbiera się w kilku miejscach wielką jej ilość, siłą rzeczy inne istoty przychodzące na świat mają jej mniej do dyspozycji... Nie to jest jednak najważniejsze.

- W takim razie co? Co jest takie ważne, bym miał zaniechać walki z tymi tutaj? – prowokował Vegeta.

- Mistrzu, czemu to znosisz?! - zapytał jeden z krajanów Popo.

- To moi przyjaciele. Zostałem w tym świecie, bo... miałem już dosyć. Dosyć walki i zabijania. Tu jest moje miejsce. – zadeklarował Popo. – Obserwuję ten wszechświat, tę planetę, tych ludzi od lat. To teraz moja rodzina! – atmosfera przy stole robiła się coraz gorętsza.

- Mówiłeś, że jest coś ważniejszego. – zapytał Goten z pełną buzią.

- Tak... – Czarnoskóry kaiośhin z innego wymiaru uspokoił się i pociągnął kolejny łyk. – Koncentracja ki powoduje, że w innych osobach ki też się koncentruje. Wszechświat dąży do równowagi, jednak mechanizm jest niedoskonały i w pewnym momencie proces zaczyna przebiegać bez kontroli... Do tego im więcej wielkich dobrych ki, które emitują energię, tym większe złe ki powstają. Taka właśnie doprowadziła do katastrofy w naszym świecie.

- Chcesz powiedzieć, że... – zaczął Gohan.

- Może pojawić się potężny wróg. Taki, któremu nie dacie rady. – dokończył Dende. – Teraz rozumiecie, jakie to ważne? Popo sądzi, że może to nadejść wkrótce.

Gohan bezwiednie podniósł się z wolna z krzesła. Trunks i Goten przerwali w połowie posiłku, z ustami wypchanymi krewetkami i resztkami dinozaurzego udźca. Vegeta uśmiechnął się szaleńczo, a jego oczy błysnęły niczym ogniem.

- Musimy więc trenować! – zawołał donośnie.
- Nie rozumiesz?! – odezwał się dotychczas milczący uczeń Popo. – Te wasze przemiany to abominacja! Powodują wypaczenie waszego wszechświata... już oddziałują na sąsiednie! Jest was coraz więcej i jesteście silniejsi. To jak zaraza! W końcu wasz świat tego nie wytrzyma. Jak nie wielkie zło, to wy go zniszczycie!
- Nie przekonasz ich, Rero. – uspokajał go Popo. – Tacy właśnie są. Zostałem w tym świecie, by go ochronić, kiedy sprawy przyjmą drastyczny obrót... ale ja nie chcę już walczyć, a oni tak.
- Nie chcesz chyba mi powiedzieć, że pozwolisz im... – mistrz przerwał mu machnięciem ręki.
- Wasze przemiany są niebezpieczne. – podjął temat Dende. – Musicie ograniczyć je do minimum. Najlepiej działać bez nich. Vegeta – spojrzał głęboko w oczy księciu saian, tak, jak za czasów, gdy ten służył w armii Freezy – Potraktuj to jako wyzwanie.
- Dam radę i bez transformacji. – rzucił dumnie saianin – To żaden problem. A wy... – zwrócił się do czarnoskórych wojowników. – Policzę się z wami, jak jeszcze raz się pokażecie w moim świecie. – wstał i odleciał.
- Jest jeszcze jeden problem. – wtrącił się zmartwiony Gohan. – Mój tata. Teraz na pewno trenuje! On o niczym nie wie!

Bulma była wściekła.

- Jak mogli nas tu tak po prostu zostawić?! Polecieli gdzieś wszyscy bez słowa wyjaśnienia!
 - To na pewno coś ważnego. – próbowała uspokoić ją Videl. – Poza tym ta walka była naprawdę niebezpieczna. Lepiej zostańmy tu aż wróci Gohan.
 - Wyczuwasz ich? – zapytała kobieta-naukowiec. – Są blisko?
 - Nie jestem w tym tak dobra jak oni. – tłumaczyła się córka Satana.
- Bulma, niezadowolona, opadła ciężko na siedzenie pilota.
- Nie pozostaje nam nic prócz czekania... – zrobiła skwaszona minę. – Nie cierpię czekać. Tak samo było na Namek, kiedy...
 - Lecą tu! – krzyknęła Videl. Pan, nie mogąc się doczekać powrotu taty, poderwała się w powietrze i przywarła do szyby. – To Vegeta... – stwierdziła bez entuzjazmu.
- Saianin wylądował i wartkim krokiem podszedł do wehikułu. Kiedy zobaczyły jego twarz, Bulma o mało nie zemdlą, Videl krzyknęła z przerażenia a mała Pan zaczęła płakać. Tam, gdzie powinno być prawe oko, on miał osmolony pusty oczodół.
- Wszedł do środka. Pan wtuliła twarzyczkę w piersi mamy.
- Potrzebny mi smoczy radar. – powiedział na przywitanie.
- Bulma nie była w stanie wydusić z siebie żadnego słowa. Sięgnęła nerwowo do pieczeni kurtki i wydobyła przypominające zegarek urządzenie.
- Proszę... – wyjąkała, nadal zszokowana. – Vegeta...
 - To nic takiego. – rzucił oschle. –Większość jest w Capsule Corp., tak?
- Kiwnęła głową.
- Zostały tylko dwie.

- Dziś to załatwimy. – powiedział i odleciał w kierunku wskazywanym przez zielony ekran. Gohan wraz z chłopcami zjawili się tuż za nim.

- Poleciał po kule... – powiedziała Buma.

- O! Cześć Pan! – Goten przywitał się z bratanicą. – Jaka tam twoje treningi? Ta rozpromieniała, zapominając o strasznym widoku i zaczęła opowiadać z werwą o swoich postępach.

- Lećcie z powrotem do Capsule Corporation. Znajdziemy Vegetę, kule i spotkamy się tam wieczorem. – powiedział Gohan i również odleciał.

Kolejny raz ratować świat.

Wieczorna wizyta w posiadłości Briefsów przypominała rodzinny piknik. Na wieść o przywoływaniu Shenlonga odwiedzić Capsule Corporation postanowili wszyscy przyjaciele Bulmy, których zdążyła zdobyć przez te pełne niesamowitych przygód lata. Przyleciał nawet Genialny Żółw, który już od lat nie widział spełniającego życzenia smoka i chciał wspomnieć dawne czasy. Zjawił się także Picollo, którego nikt nie powiadamiał, ponieważ nie było sposobu by się z nim skontaktować... Cała grupa, spotykająca się raczej okazjnie, była w szampańskich nastrojach. Jakby nie docierał do nich fakt, że zagrożenie znów jest blisko. Zresztą nikt poza wojownikami saiyanskiej krwi nie miał pojęcia, jak blisko – nawet ci, którzy czuli ki na tyle dobrze by wiedzieć doskonale o walce Vegety... A wszyscy widzieli, że został okaleczony. To bardzo raniło jego dumę i był jedyną osobą, która miała zły nastrój. Na końcu przyleciał sam Wszechmogący wraz z Popo, który zachowywał się dokładnie tak, jak niegdyś. Nikt by nie pomyślał, jak wielką moc i wiedzę posiada... i sam Popo chciał, by tak zostało.

- Kto wzywa smoka? – zapytał Krilan, nie mogąc już się doczekać widoku ogromnej bestii, która sprawia, że niebo ciemnieje.

- Ja. – odpowiedział krótko książę saian i podszedł do kul. –Przybywaj Shenlongu! Czas spełnić moje życzenia! – krzyknął.

Niebo pociemniało. Chmury zabrały się nad całym Satan City i choć nie spadła kropla deszczu, to burzowe błyskawice co i rusz przemykały między nimi z wtórującymi im odgłosami grzmotów. Strumień światła wystrzelił spomiędzy smoczyc kul, wijąc się w powietrzu, tworząc ogromną serpentynę energii, z której powstał boski smok. Shenlong.

- Nie sadziliśmy, że ktoś w tak młodym i zacofanym wszechświecie potrafi ustanowić łącznik z częścią jego energii potencjalnej... – powiedział cicho jeden z uczniów Popo, którzy wyrosli jak spod ziemi tuż obok niego. W całym zamieszaniu nikt ich nie zauważył.

- Ten świat potrafi zadziwić. –przyznał Popo. – Nawet jeśli nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, co robią.

- Czyli oni nie wiedzą jak to działa? – zapytał drugi.

- Nic a nic. – zaśmiał się ich mistrz.

- Spełnię twoje trzy życzenia. – zagrmiał głos smoka. – Tylko szybko, nie mam wiele czasu.

- Napraw moje ciało! – zażądał Vegeta.

- Już. – powiedział Shenlong i Vegeta odzyskał stracone oko.

Nie tylko. Z tyłu jego spodni coś zaczęło się wylaniać. Rozerwało materiał i wydobyło na powierzchnię. Vegeta już dawno o tym zapomniał...

- To ogon! – krzyknął Yamcha. – Vegecie odrósł ogon!

Ktoś zaczął chichotać, jednak gdy tylko Vegeta się odwrócił, śmiechy ustały. Spojrzał na nich wzrokiem mordercy, tak, jak wtedy gdy po raz pierwszy przyleciał na Ziemię. W jednej chwili powróciły wspomnienia grozy, jaką siali źli saianie.

- Ehm... – odchrząknął Gohan. – Czas na drugie życzenie.

-Mów szybko. – ponaglał go smok.

- Sprowadź do nas Goku z Uubem. – zażyczył sobie ku uldze zebranych. – Jest nam bardzo potrzebny. Ziemi może grozić niebezpieczeństwo.

- Już się... – świadomość Shenlongana parę minut opuściła jego cielesną manifestację - ...nie mogę spełnić tego życzenia.

- Jak to?! – zapytała Chi-Chi, która obawiała się najgorszego. – Co się dzieje z moim mężem?!

- Nie ma go ani w świecie śmiertelników, ani w zaświatach, ani na planetach bogów. – stwierdził smok. – Zniknął z tego wymiaru. Nie jestem w stanie go znaleźć.

- Zapieczętowaliście kogoś z tego świata? – cicho zapytał Popo swoich towarzyszy.

- Nie, dopiero co się pojawiliśmy. Nikt też nie przybył tu przed nami, o ile nam wiadomo...

- Yhm... – zamyślił się czarnoskóry kaioшин z innego wymiaru.

- Jak to nigdzie go nie ma?! – wrzeszczała Chi-Chi. – Żądam wyjaśnień!

- Nie jestem w stanie ich udzielić, kobieto. – zagrzmiał Shenlong. – Mogę sprowadzić do was Uuba w ramach drugiego życzenia.

- Więc zrób to! – krzyknęła zdenerwowana.

- Już. – powiedział smok i czarnoskóry chłopiec pojawił się przed nimi. Ubrany był podobnie do Goku, gdy ten wrócił z planety Yardat. – Macie jeszcze jedno życzenie.

- Ty! – Chi-Chi czerwona z wściekłości wskazała palcem na Uuba. – Mów gdzie jest mój mąż!

- On...eee...

- Macie ostatnie życzenie. – ryknął smok. – Jeżeli nie chcecie mnie o nic prosić to zniknę...

- Nie, czekaj! – uprzedził to Gohan. – Powiedz nam, czy we wszechświecie istnieje jakaś zła siła, która mogłaby nam zagrozić i czy jest blisko?

Smok znów jakby opuścił ciało.

- Tak. Istnieje. – odpowiedział zdawkowo smok, a wszystkich obecnych zmroziło. – Jednak jest na razie daleko od was. Na Nowej Namek.

- Nowej Namek?! – krzyknął Dende, gdy Shenlong już zniknął.

Nowa Namek miała być oazą spokoju. Przystanią w kosmosie, gdzie pozbawieni swojej ojczyzny Nameczanie będą mogli stworzyć sobie drugi dom. Nie potrzebowali wiele do

szczęścia. Nie prowadzili wojen. Nie pociągala ich walka ni władza. Nie posiadali pieniędzy. Potrzebowali jedynie spokoju.

Ktoś, lub coś, postanowiło jednak to zburzyć.

Dende nie potrafił się z tym pogodzić.

- Muszę tam lecieć! – zarzekał się Wszechmogący.

- Nie możesz, Dende. – próbował wybić mu to z głowy Gohan. – Jesteś ziemskim bogiem. Bez ciebie smocze kule znikną. Ja polecę.

- Nie... – odezwał się Popo, jednak nie dokończył zdania, by nie zdemaskować się przed innymi. Jego dawni protegowani już odeszli. Nie obchodziło ich możliwe zagrożenie z innych części wszechświata. Nic takiego wcześniej nie odnotowali, poza tym w pojawieniu się groźby dla saiyan widzieli jedynie próbę wewnętrznej regulacji w bilansie energii tego wymiaru. Koniec końców to mogło być cokolwiek, niekoniecznie kolejny zbyt potężny wojownik. Sami obiecali na razie nie walczyć z saiyanami, jednak to nie znaczyło, że stali się ich sojusznikami...

- Ktoś taki jak ty potrzebny na Ziemi. – dokończył. – Vegeta może... gdzie on jest?

Zorientowali się, że księżę saiyan zniknął w tym całym zamieszaniu. Musiał się ulotnić wtedy, gdy smok wracał do kul, dlatego go nie zauważyli.

- Ze mną nie musicie dyskutować. – wtrącił się Picollo. – Lecę tak czy inaczej. Już dawno myślałem o odnalezieniu Nowej Namek... – wyznał mu zaskoczeniu innych, dla których był zawsze raczej demonem niż liryczna duszą.

Nikt też nie miał zamiaru protestować.

- My polecimy! – zgłosili się młodzi pół-saiyanie.

- Jeżeli Gohan się nie wybiera, a taty nie możemy spytać o zdanie, pozostajemy my dwaj. Musi być tam przecież ktoś na tyle silny, by...

Nie zdołali dokończyć. Matki zakrzyczały ich, dobitnie stwierdzając, że żaden lot w kosmos nie wchodzi w grę, tym bardziej na wyprawę, gdzie mogą stracić życie. Przeciwnik w końcu ma stanowić zagrożenie dla wszystkich obrońców Ziemi...

- To rozsądne. – wtrącił się Picollo drugi raz. – Chłopcy są jedynym wyjściem. Do tego ich ojcowie w ich wielu prowadzili niebezpieczne życie. Taka przygoda tylko ich zahartuje, a jeżeli zginą... – Chi-Chi i Bulma pobladyły. –zbierzecie kule i przywróćcie ich do życia. – podsumował. Nie sposób było kłócić się z jego argumentacją.

- Też chciałbym z wami lecieć! – zawołał Uub. – Pan Goku świetnie mnie wytrenował... – tłumaczył się czarnoskóry chłopiec, który tak na prawdę chciał po prostu poznać młodych pół-saiyan, o których tak wiele słyszał od swojego mentora.

- Postanowione. – zabrała głos Bulma. – Leci Picollo, Goten, Trunks i...

- Uub.

- Tak, tak, Uub i ja. – chłopcy chcieli zaoponować, ale Bulma spiorunowała ich wzrokiem. – Ktoś musi mieć na was oko. Poza tym tylko ja znam się na statkach kosmicznych. Ja będę

musiała zbudować pojazd i opracować radar, dzięki któremu namierzemy Nameczan, więc nie ma dyskusji.

- Dobrze, Bulmo, jednak nie zabronicie mi lecieć. Namek to moja ojczyzna. Nameczanie to moja rodzina. – stanowczo stwierdził Wszechmogący. - Popo przejmie moje obowiązki na ten czas. – wskazał swojego czarnoskórego lokaja. Ten, choć mogło się to zdawać niemożliwe, pobladł.

- Ja... Wszechmogącym? Nnnie... Nie mogę...

I tylko garstka obecnych zdawała sobie sprawę, jaką rzeczywiście siłą on dysponuje.

Kolejnego dnia Gohan nie wybrał się do uniwersytetu – dziś nie prowadził zajęć. W teorii czas miał przeznaczyć na prowadzenie badań... goniły go jednak bardziej naglące sprawy.

Po pierwsze: odprowadzić Pan do przedszkola.

Po drugie: dowiedzieć się o co w tym wszystkim chodzi. Z tego powodu zbliżał się właśnie do pałacu Wszechmogącego. Nowego Wszechmogącego, który – mimo, iż znali się od zawsze – wydawał się całkiem obcy.

Wylądował lekko przed wrotami, a te jak na sygnał rozwarły się.

- Właśnie się ciebie spodziewałem. – przywitał go z uśmiechem świeżo upieczony ziemski bóg –Wejdz, przygotowałem śniadanie.

- Eee... dziękuję. – Gohan był zbity z tropu i postąpił wedle poleceń.

Śniadanie było isticie boskiego przepychu. Owoce z różnych stron świata podawane z pieczeniami i przerobami z gatunków zwierząt, których niejeden człowiek ni razu nie widział na oczy. Do tego sery, kilka rodzajów sosów, oraz mnóstwo wariantów sushi.

Gohan, jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie, uwielbiał jedzenie... teraz jednak musiał skupić się na ważniejszych sprawach.

- Czemu nie chciałeś, bym leciał na Nową Namek? – zapytał wprost.

- Ktoś musi bronić Ziemi. – odpowiedział Popo z uśmiechem. – Proszę, częstuj się.

Gohan uszczknął kawałek pasztetu z krakena.

...a potem jego ki zaczęła wariować.

Czuł się jakby nagle ktoś przemienił go w wielkie sito, z którego ze wszystkich stron sączyły się strumienie energii.

- Co się dzieje? – zapytał zdenerwowany, w pół drogi do ust zatrzymując widelec z kolejną porcją. – Co mi podałeś?

- Czy sądzisz, że tamci dwaj byli silniejsi od Vegety? – zapytał Popo, jakby nie mając zamiaru odpowiadać na pytania swojego gościa.

- Popo, co się tu dzieje? – niepokoił się pół-saiyanin, z którego uciekała ki.

- Proszę, odpowiedz. – nalegał Popo. – Wiem, że ty jeden musiałeś wyczuć ki Rero.

- Była wielka, ale czy większa od Vegety... nie. – odpowiedział po szybkim zastanowieniu.

- Masz rację. Mimo to Vegeta nie był w stanie mu zagrozić. Wiesz czemu?

- Popo, powiedz mi natychmiast co ty robisz?! Nie mam ochoty na zagadki.

- Ale to jest właśnie klucz do odpowiedzi na obydwa pytania. – ze spokojem kontynuował nowy Wszechmogący, który właśnie konsumował pasztet z krakena. Najwyraźniej nie działał na niego w żaden sposób – Musisz się nauczyć, jak panować nad ki. Jak używać jej bezstratnie. To początek naszego treningu. – przełknął kęs. – A teraz jedzmy.

- Powiedziałaś, że chcesz mnie widzieć za jakiś czas. – Picollo bezceremonialnie wleciał oknem do pracowni niebieskowłosej Pani naukowiec. – Jestem. Statek wkrótce będzie gotowy?

- Moglibyście korzystać z drzwi? – skierowała pytanie bardziej do siebie. Po latach spędzonych z lewitującymi wojownikami takie rzeczy stały się dla niej normą. Sama chciała kiedyś nauczyć się latać, jednak nie miała talentu do tej całej ki. Dużo lepiej wychodziło jej konstruowanie urządzeń. – Potrzebuję cię zeskanować.

Picollo patrzył na nią bez zrozumienia.

- Wejdź proszę do tej komory, o tam, w rogu. – wskazała palcem walcowaty pojemnik. – Komputer dokładnie cię prześwietli. To niezbędne, by... niemczański radar mógł działać.

- Dende nie mógł się zjawić? – próbował wykręcić się Picollo, któremu perspektywa zamknięcia w dziwnej machinerii nie wydawała się kusząca.

- Wiesz, to jednak... Wszechmogący. Przynajmniej nim był do tej pory... – zaczęła się tłumaczyć.

- Też byłem Wszechmogącym. W pewnym sensie... – zauważył Nameczanin.

- Ty to co innego. – odparła lekceważąco kobieta – No już, wskakuj do maszyny. Statek już prawie gotowy, pozostał tylko radar i im szybciej namierzymy ich sygnał, tym szybciej wyruszymy.

- Nie mogliśmy po prostu zapytać Czcigodnego Kaio?

- Złożył przysięgę, że nie zdradzi ich tajemnicy. Nikomu. Poza tym nie wie dokładnie gdzie jest ich planeta, bo przenieśli się do innej galaktyki.

Inna galaktyki, pomyślał zielony kosmita, tak daleko musieli uciekać przed zagrożeniem, a i tam nie byli bezpieczni...

- Dobra. – zgodził się na badanie i zajął miejsce w maszynie. – Byle szybko. – Dodał jeszcze, nim metalowe drzwi zamknęły się przed nim odcinając całkiem dopływ światła.

- Przypomnij mi, co wiemy o fusion dance.

- Zespalamy się w jednego wojownika na pół godziny, co tu wiedzieć więcej? – zapytał znudzony Goten. Spotkał się z Trunksem, by potrenować: w końcu mieli stanowić drużynę ratowniczą dla Nameczan, jakiegokolwiek niebezpieczeństwo im zagraża. Tymczasem czuł się jak na lekcji w szkole, gdy Trunks zaczął wypytywać go o oczywistości lub nieistotne szczegóły.

- Tańczymy taniec, tak? Po co w ogóle to tańczymy? I dlaczego musi wyglądać tak samo?

- Bo taka jest ta technika? – spojrzał na fioletowowłosego przyjaciela jak na durnia.

- Nigdy nie zastanawiałeś się nad tym?

- Nie. – odparł czarnowłosy nastolatek. – Za dużo nad tym wszystkim myślisz. Jak coś działa to...

- To zawsze może działać lepiej. –oczy Trunksa zapłonęły demonicznie. – Mam parę teorii na temat tego, jak działa fuzja i pomysłów, jak ją ulepszyć.

- Ulepszyć fuzje? – teraz Goten naprawdę się zainteresował. Podniósł się z pleców i spadł po turecku na skale.

- Tak, dlatego chciałem byśmy przylecieli na to pustkowie. – wyjaśnił przyjacielowi. –Mam zaplanowanych kilka eksponentów, które mogą dać wymierne korzyści. Problem w tym, że... Tak jakby nikt przed nami tego nie robił.

- No to na co czekamy? – zapytał Goten, dla którego niebezpieczeństwo było najlepszą formą zabawy.– Zaczynajmy!

- Dobrze. – Trunks uśmiechnął się szelmowsko. – Zacznijmy od...

Chi-Chi była wściekła.

Tym razem Goku uciekł od niej tak daleko, że nawet spełniający życzenia smok nie mógł to osiągnąć. Przyzwyczała się już przez lata do tego, że jej mąż zniknął na długi czas pozostawiając wszystkie sprawy dnia codziennego na jej głowie. Nawet gdy był blisko, nie stanowił szczególnego wsparcia. Gdyby chociaż wykorzystał swoją siłę, by zarobić trochę pieniędzy! Nie, jemu to było zupełnie nie potrzebne – cały czas spędzał na treningach, byleby uciec od normalnego życia.Zdarzało mi się nawet umrzeć! Mimo to zawsze istniała jakaś płaszczyzna kontaktu...

Teraz było inaczej.

Doprawdy nie wiedziała, co takiego w nim widzi. Może to ten beztroski uśmiech, może jego muskuły, może jego... zarumieniała się.

Zupa zabulgotała. Była już gotowa.

Gospodyni napełnia dwie miski aromatycznym ramen i postawiła je na niewielkim stole.

- Dziękuję pani za posiłek. – czarnoskóry chłopiec uklonił się nisko. Usiadł, chwycił miskę w ręce i wypił część bulionu. Jego oczy aż zaszły łzami ze szczęścia. – Jakie pyszne! Na wyspie nie mieliśmy dużo jedzenia, a te na Yardat... – wykonał gest sugerujący wymioty.

- Uub, chyba pora, byś opowiedział mi dokładnie do się wydarzyło. Czemu mój mąż zniknął?

- Kiedy obiecałem...

Chi-Chi lekko uniosła się z krzesła. Nie posiadała znacznej ki, jednak Uub mógłby przysiąc, że jej wściekłość zmieniła się w piekielne płomienie, które ogarnęły na mgnienie oka całe pomieszczenie. Teraz rozumiał, czemu Goku wołał z nią nie zadzierać.

- Dobrze, powiem. – zdecydował w końcu. - Ale to jest tajemnica.

- Chcę tylko wiedzieć co z Goku... nikomu nie zdradzę waszego sekretu. – usiadła, już spokojna.

- To... to moja wina. – wyznał Uub. –Polecieliśmy na planetę, gdzie już kiedyś był pan Goku. Zabrał mnie, żebym też poznał technikę natychmiastowej transmisji. Było super! Oni tam... wszyscy znają ki!

- Nie mógł was tam po prostu przenieść? – zapytała marszcząc brwi.

- Nie pomyśleliśmy o tym... –chłopak spuścił wzrok. Zjadł parę kawałków pływającego w zupie mięsa i kontynuował opowieść. - Mieszkańcy Yardat... byli niesamowici. Nauczyli mnie jak przenosić się między miejscami, jak pomagać sobie ki na co dzień –porcja makaronu wleciała w górę z miski Uuba i powędrowała do jego ust, ku zdziwieniu i konsternacji Chi-Chi –Pokazali nam swoje miasta i wyspy i wynalazki i...

- Dobrze, ale co z Goku? – dopytywała kobieta, która niepokoiła o los męża.

- Wszystko się zaczęło, gdy mieszkańców Yardat zaatakowali kosmiczni piraci...

- Perfekcyjna kontrola upływu ki to kluczowa rzecz w zrozumieniu tego, z jakim przeciwnikiem przyjdzie ci się mierzyć. – mówił Popo do ostatkiem sił trzymającego się przy życiu Gohana. Udało mu się powstrzymać ucieczkę ki niemalże w ostatnim momencie. Jeszcze chwila, a straciłby przytomność i obudziłby się najpewniej już w zaświatach. Gdyby umarł, ostro musiałby się tłumaczyć przed Videl, bo okazja na wskreszenie pojawiłaby się dopiero za rok. Na szczęście, obiad był już skończony.

To nie tak, że nie mógł odejść w każdej chwili... ale wtedy niczego by nie osiągnął zjawiając się tutaj. Teraz jednak nie miał siły na zadawanie pytań. Mógł tylko starać się słuchać tego, o czym mówi do niego nowy bóg Ziemi.

- Moi dawni uczniowie odeszli, ale z pewnością wrócą. – kontynuował. – I przecucie mi mówi, że nie sami... Nie mogę mieć do nich zaufania. Dlatego musimy za wszelką cenę udowodnić im, że istnienie tego świata nie jest zagrożone. Że posiada on obrońców równowagi... albo, że będziemy w stanie ich pokonać, jeśli będzie taka potrzeba. – dokończył poważnym tonem.– Wiem, że porzuciłeś walkę i rozumiem to aż zbyt dobrze... jednak może nadejść konfrontacja, w której sam będę musiał uczestniczyć i nie mogę być wtedy sam.

Gohan nic nie odpowiadał.

Trzymał się oburącz blatu stołu, tak mocno, że zbiegały mu knykie, i za wszelką cenę starał się nie runąć na podłogę. To było jego priorytetem.

Został zmanipulowany. Ktoś znów chciał go wciągnąć w wir wydarzeń, które prowadzić miały do cierpienia i rozlewu krwi, pod pretekstem, że jest jedyną nadzieją. Kaioshini wybrali go sądząc, że tata nie wchodzi w grę... tym razem było tak samo. Gdy tylko Goku wróci...

- Przykro mi, ale jeśli spełnił się najczarniejszy scenariusz, to twój ojciec... nie żyje. – stwierdził czarnoskóry grubasek, patrząc na pół-saiyanina swoim niezmiennym, beznamiętnym wzrokiem. – Więcej, on nie istnieje. Są siły, których sobie nie wyobrażacie... a ginąc nie w swoim wymiarze nie wędrujesz do zaświatów. Twoja ki zeruje się. Całkowicie.

To nie mogła być prawda!

Goku wychodził cało z każdej opresji. Zawsze w chwilach zwątpienia jego pewność swego i uparte dążenie do celu dodawały wszystkim otuchy... teraz okazywało się, że przepotężny wojownik tkwił tuż pod bokiem i godził się na wszystkie niegodziwości i okropieństwa, które spadały na ten świat, bo nie chciał kiwnąć palcem. Cały trud i wysiłek, jaki wkładali w obronę Ziemi, lata treningów jego ojca... wszystko miało być pozbawione sensu?! Nie był w stanie w to uwierzyć!

Ostatnimi siłami nie miał świadomości nawet, że tak mała ilość ki wystarczy do wykonania jakiegokolwiek ruchu – poderwał się z krzesła.

- Mój ojciec żyje! – krzyknął. – Wróci i pokaże wszystkim, że nie warto z nim zadzierać!

- Doskonale! – zawołał z aprobatą Popo. – W końcu nauczyłeś się jak używać dokładnie takiej ilości energii, jaka jest niezbędna. Bez marnotrawstwa. Co do twojego ojca – dodał ze smutkiem – obyś miał rację. Tym czasem jednak kontynuujmy trening. W końcu jesteś potężnym wojownikiem i nie powinienesz skazywać na trud walki innych dlatego, że nie chce ci się kiwnąć palcem... – wykorzystał przeciw Gohanowi jego własne myśli – Możesz usiąść. – teraz znów mówił swoim zwyczajnym, dobrze znanym głosem pałacowego lokaja – Tymczasem ja pójdę po deser.

Odkąd powierzył swoją funkcję w czyjeś ręce, Dende nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Pałac wszechmogącego wydał mu się nagle smutny i obcy, tak jakby lata tam spędzone poszły w niepamięć. Tęsknił za domem, do innych Nameczan.

Teraz zwiedzał świat. Po raz pierwszy poznawał planetę, nad którą przez lata sprawował pieczę. To prawda, oglądał ją codziennie ze swojego pałacu, potrafił latać i mógł – gdyby tylko chciał – w krótkim czasie oblecieć ją całą wzdłuż i wszerz, jednak nie miało to cokolwiek wspólnego z poznaniem jej naprawdę. Teraz wędrował przez bezdroża, oddychał górskim powietrzem, smakował słonej wody oceanów, czuł piach pod stopami, mijał cuda wzniesione ludzką ręką, przechadzał się ulicami zagubionych wśród lasów wsi i sięgających chmur miast... Ziemia była piękna i różnorodna. Widział to doskonale, teraz, kiedy zamierzał ją opuścić. Tęsknił jednak do jednostajnej i spokojnej Namek...

...tyle, że to nie będzie tamta Namek. Ciekawiło to, jak wygląda nowa ojczyzna jego braci. Jeżeli nie będzie tym, co uosabiają jego wspomnienia?

Tak czy inaczej – podjął już decyzję.

Ogromna eksplozja zatrzęsła Ziemią tak mocno, że stojące kilometry dalej formacje skalne, które przetrwały miliony lat, zawałyły się od siły wstrząsów.

Pierwszy wstał Trunks, nieźle poturbowany. Zaraz po nim, na końcu horyzontu, podniósł się Goten.

- Jeeej. – zawołał tak, by przyjaciel to usłyszał. – To było naprawdę świetne! Prawie się udało!

- Nie ciesz się tak bardzo! – odkrzyknął mu syn księcia dawno wytrzebionej rasy – Musisz się skupić! Jeśli mamy dokonywać fuzji w taki sposób, konieczne jest, byśmy się

zsynchronizowali o wiele lepiej niż podczas tańca. To jak mantra... – objaśniał towarzyszowi wydedukowane właściwości techniki scalenia, jednak tamten już od dawna nie słuchał. Goten nie był typem mózgowca, dalece bardziej stawiał na praktyczne działanie... w tym przypadku jednak musiał w końcu ruszyć głową, by eksperyment się powiódł. Jeśli im się uda, ich ojcowie będą mogli im zazdrościć – powtarzał sobie z satysfakcją Trunks, który odziedziczył po ojcu odrobinę arogancji.

- Próbuje jeszcze raz?! – zawołał Goten, który zdawał się być niezmordowany.

- Tak, tylko... spójrz! – spadkobierca Capsule Corporation wskazał obiekt daleko na niebie. Wzniósł się w powietrze. Przyjaciół zaraz do niego dołączył.

- Czy to nie statek kosmiczny z waszym logo?

- Tak! – odpowiedział zaskoczony Trunks. – Chyba chcą polecieć bez nas!

- ... przywódcę piratów również pokonaliśmy bez trudu. – kontynuował swoją opowieść Uub. – Okazało się, że wszyscy służyli kiedyś w armii Friezy. Nie byli tak silni, jak myślałem. – dodał ukazując w głosie rozczarowania dziecka, któremu obiecano diabelski młyn, a okazało się, że to tylko karuzela – Ale Yardaci byli nam bardzo wdzięczni. Urządzili dla nas wielkie święto. – chłopiec kolejny raz odbił od tematu, opisując wszystkie atrakcje i cuda jakie widział na odległej planecie. Chi-Chi już mu nawet nie przerywała, ponieważ powrót do głównego wątku zabierał mu jeszcze więcej czasu. Uub był w końcu jeszcze dzieckiem... I to, jak się okazało, gadatliwym dzieckiem. Do tego, jak już się tylko ośmielił, to jadł niczym Goku. Właśnie kończył czwartą dokładkę a gospodyni górskiej chatki zastanawiała się, gdzie on to wszystko mieści.

- Potem zdradzili nam swój wielki sekret. – chłopiec zrobił wymowną pauzę, napięcie rosnęło. – Nie do końca zrozumiałem o co chodzi. – przyznał i podrapał się po głowie, a Chi-Chi niemalże spadła z krzesła. – Mówili, że pochodzą z bardzo dalekiego i starego świata. Poznali sposób, by się między nimi przemieszczać i uciekli stamtąd, ponieważ szalał tam jakiś okropny potwór, który wszystko niszczył... Pan Goku bardzo chciał to zobaczyć i chciał nauczyć się podróżować jak oni. Kazał mi trenować natychmiastową transmisję, a sam przeniósł się tam razem z jednym z Yardatów. Czekałem na niego, a wtedy jakiś głos odezwał się w mojej głowie i... znalazłem się tam, przed wami. – zakończył opowieść.

- Jak to, nic więcej? – zatroskana kobieta poderwała się z siedzenia. – Musisz mi powiedzieć coś więcej! Ile dni temu Goku zniknął? Mówił kiedy wróci?

Uub jakby jej nie słuchał. Zamiast tego wyglądał przez okno i wytężał wzrok.

- Czy to ki pana Vegety? – powiedział jakby sam do siebie i wyleciał przez okno, nie zważając na krzyki zdenerwowanej kobiety, która rozkazywała mu wracać do środka.

Nie odważył się nawet odwrócić, ale mógłby przysiąc, że czuł jak po plecach biegną mu piekielne ogniste języki, nim nie oddalił się od górskiej chatki dostatecznie, by być poza zasięgiem wzroku.

- Bulma, co to ma znaczyć?!

- Mamo, dlaczego tata..
- Proszę Pani, my chcieliśmy...
- Możesz to jakoś wyjaśnić?
- Czemu Pan Vegeta leci sam?
- ...tata Jak zwykle chce zrobić wszystko sam!
- Dałaś mu statek?
- Bulma?
- Pani Bulmo?
- Mamo?
- Proszę pani?
- Dooooosssssyyyyc! –mająca już serdecznie dość tego całego harmidru, który w ciągu paru minut zawalił się jej na głowę (a ściślej: do świeżo odnowionego ogródka, niszcząc dopiero co zasadzone rabatki kwiatów), krzyknęła tak mocno, że parę szyb w rezydencji popękało. – Zamknijcie się! Wszyscy! – naukowiec była czerwona z wściekłości.
Zapadła cisza.
Kobieta-wynalazca potrzebowała dobrych kilku chwil i głębokich oddechów, by wrócić do siebie.
- Tak, to odleciał mój mąż. – powiedziała z wymuszonym spokojem. – Nie, to nie statek, który budowałam. Nie wiem skąd go wziął. Raczej nie poleciał na Nową Namek, bo radar był tylko jeden i jest w moim statku.
Kolejne dwie postaci dołączyły do sporej już grupki przed rezydencją Briefsów. Gohan postawił matkę na Ziemi i skinął wszystkim głową na przywitanie.
- O! Nie odlecieliście jeszcze... – odezwała się mieszkanka gór.
- Właśnie to tłumaczę – wycedziła przez zęby Bulma, starając się nie wpaść w amok.
- To chyba przeze mnie to całe zamieszanie. – z domu wyszedł sowy staruszek, który śmiał się nerwowo i wyglądał, jakby przyłapani go na czymś niestosownym.
- Jak to? Tato? – dopytywała go niebieskowłosa.
- Vegeta poprosił mnie, bym w tajemnicy wyremontował dla niego jeden ze starych statków. – wyznał doktor Briefs – Wiecie, kiedy się uprze, to potrafi być bardzo stanowczy. – zerknął po twarzach porozumiewawczo. – I w końcu wypada czasem pomóc zięciowi, czyż nie? – zaśmiał się głośno.
- Czy powiedział Ci, gdzie leci? – zapytała to córka.
- Nic a nic. – odparł z uśmiechem staruszek.
- Achhhh... – westchnęła, zdążywszy już przez lata przyzwyczaić się do wybryków męża. Niech sobie robi co chce! Pewnie poleciał szukać Goku po całym kosmosie czy rozbić w puch jakąś armię kosmitów... nieważne. Nawet lepiej, że nie będzie im przeszkadzał. – To nawet dobrze się składa, że wszyscy jesteście tutaj. – zaczęła z innej beczki. – Statek jest już gotowy. Oto on! – krzyknęła i nacisnęła jeden z przycisków na nieodłącznym przyczepionym do przedramienia urządzeniu.

Z basenu uszła woda. Betonowe dno rozstąpiło się ukazując wielki hangar, a z niego na powierzchnię wyjechała wielką beczkowata rakietą.

- Oto Namek Voyager! – powiedziała z dumą. – Wyposażony w saunę, jacuzzi, gabinet odnowy biologicznej... I oczywiście wasze nudne sale treningowe. – dodała na koniec. – Prowiant już jest zapakowany. Resztę potrzebnych rzeczy weźmiemy w kapsułkach... to jak, wsiadamy? –zapytała nie kryjąc dumy, kiedy jej dzieło podziwiała same rozdziawione twarze. Opuściła wrota statku i wgramoliła się na trap. Opanowała ją dziwna radosna nostalgia. Ruszała jak dawniej, w świat, z przyjaciółmi – prosto ku nowej przygodzie.